Drukarnia pod Arkadą

Florian Śmieja

Oficyna pod mostem

Dla K. i Cz. B.

Feliks Topolski, Krystyna i Czesław Bednarczykowie.

W przedsionku cuchnie farbą, paki przejście

ci tarasują, a przecież to tutaj

tłumniej się garną na duchów biesiady

niż na czwartkowe przyjęcia monarchów.

Jakże niepyszne stoją kuluary

spasionych bonzów od wielkiej żeglugi

bo strużce płynącej ze wzgórza Kaliopy

na próżno szukać by mniej oficjalnej

ścieżki nad tę, lichszych progów, schronienia

bardziej skromnego. Duch od rezydencji

stroniący bujniej za to popod strzechą

swobodny kwitnie. Tak na nagiej ścianie

orzeł kapłonowi też nie zazdrości

ni gęsi sytuowanej na grzędzie.

Wie, że gdy spadnie z błękitu piorunem,

truchleją serca tuczone, umilknie

głos podwórkowy. Bo gdzie się pokażą

orły, padlina zwykle niedaleko.

W Londynie pod przęsłami kolejowego mostu na Tamizie funkcjonowała przez kilkadziesiąt lat Oficyna Poetów i Malarzy, wydawnictwo i drukarnia Krystyny i Czesława Bednarczyków, znana nie tylko polskim emigrantom zamieszkałym w stolicy Zjednoczonego Królestwa i okolicy, ale również wielu Polakom odwiedzającym Anglię.

Krystyna Bednarczykowa, fot. Katedra Edytorstwa i Nauk Pomocniczych UJ.

Podwójna rola poetów i drukarzy wystawiała oboje na wiele niełatwych prób i kolei barwnego życia w wyziewach ołowiu i farby drukarskiej, wśród maszyn i stosów papieru w różnych stadiach obróbki. Były to jeszcze czasy przedkomputerowe, epoka żmudnej pracy zecerów i linotypistów, drukarek rotacyjnych i gilotyn. W takich to warunkach powstawały piękne

druki, które z czasem miały stworzyć długą listę w wiele setek tytułów idącego rejestru osiągnięć placówki.

Wydawanie książek Bednarczykowie zaczęli z pomocą pedałówki. Mieli ambicję zrzeszyć ludzi pióra i pędzla równouprawnionych w książce i piśmie. W erze zarysowującej się rewolucji technologicznej, która przeorała drukarstwo, wierzyli w przetrwanie rzemiosła i sztuki wielkiej tradycji reprodukcji książki. *Z Gutenbergem iść będzie dalej piękna książka, wiecznie istnieć będzie artysta książki i ręczna sztuka drukarska,* pisał Bednarczyk. Wierzyli, że pozostanie tęsknota do artystycznej, na ręcznej prasie tłoczonej książki. Nieraz jeszcze z sentymentem wspominam częste odwiedziny w drukarni. Przynosiłem czasem domowe kołacze, albo zakupione w pobliskiej cukierni ciastka, Bednarczykowie ogłaszali przerwę, parzyli kawę czy herbatę i zasiadaliśmy na czym było można, lustrując przy okazji drukujące się akurat książki i gotowe już egzemplarze. Wtedy też wymienialiśmy nowości, układali plany, snuli marzenia.

Czesław Bednarczyk, fot. Katedra Edytorstwa i Nauk Pomocniczych UJ.

Za małe pieniądze drukowałem w ich oficynie tomik poezji „Powikłane ścieżki”, a także wybór prozy poetyckiej Hiszpana, noblisty, Juana Ramóna Jiméneza, „Srebroń i ja”. Zygmunt Turkiewicz wybrał się do Irlandii, by napatrzeć się i narysować dla książki osiołki. Tekst był bardzo liryczny i piękny, a autor nagrodzonym poetą, dlatego druk był szczególnie wypielęgnowany i czterokolorowy, co wtedy oznaczało czterokrotne przepuszczenie przez maszyny i czyszczenie wałków z farby. Ponieważ tytułowy osiołek nazywał się „Srebroń”, więc nagłówek i łeb protagonisty drukowane były srebrną farbą. Powstała śliczna książeczka, jedna z piękniejszych pośród gustownie wydawanych tomików, które wyszły spod prasy „Oficyny Poetów”.

Z tą pozycją wiąże się moje nierozważne pociągnięcie, kiedy to chcąc poprawić kilka błędów i dostarczyć tekstu już wyczerpanego, nieumiejętnie książeczke powieliłem w Kanadzie. Ponieważ wprowadziłem drobne zmiany w tekście, trzeba było wydanie opatrzyć innym numerem. Dość, że powielone egzemplarze wypadły bardzo niekorzystnie. Kiedy Krystyna Bednarczyk je zobaczyła, nakazała je wycofać i mocno mnie zbeształa. Dopiero wydanie całości tekstu (trzy razy dłuższego) dwujęzyczne we Wrocławiu salwowało sprawę hiszpańskiego arcydzieła.

Krewkości Krystyny Bednarczyk doświadczyłem uprzednio w

latach redagowania miesięcznika „Kontynenty”, drukowanego przez jakiś czas u nich. Jego kolorowa okładka zmieniała się w zależności od posiadanych przez drukarnię na składzie papierów i kartonów. Raz umówiliśmy się, że będzie czerwona. Przeświadczony o tym pojechałem po pracy do drukarni i , o zgrozo, zamiast spodziewanej okładki czerwonej, zobaczyłem zieloną. Nim się zreflektowałem, nieopatrznie wypowiedziałem słowo zdziwienia „zielona?” To wystarczyło, by Krystyna, która widocznie miała trudny dzień, ucapiwszy mnie za kołnierz, wyprowadziła z drukarni.

Bednarczykowie zapisali piękną kartę wydając przez czternaście lat dużego formatu zeszyty kwartalnika „Oficyna Poetów i Malarzy” w imponującej szacie graficznej. Wyszło ich w sumie 57. Bez wątpienia okazały to był periodyk, który stwarzał możliwości publikacji ambitnym pisarzom i plastykom z emigracji i z kraju.

Aczkolwiek raz po raz drukowałem w nim różne teksty, nie wykorzystałem należycie oferty. Obowiązki zawodowe i przeniesienie się do Kanady nie pozwoliły na pełny udział. Tym niemniej zdołałem wydrukować kilka poważniejszych prac, w tym przekład dwuaktowej komedii Federico Garcii Lorci, sztukę Argentyńczyka Osvalda Draguna, esej T.S. Eliota, opowiadania J.L.Borgesa oraz psalmy Ernesta Cardenala oprócz wierszy i recenzji. Na łamach „Oficyny” ukazały się po raz pierwszy

przewrotne bajki Gwatemalczyka, Augusta Monterroso. Pamiętam też, że raz posłałem przekłady wierszy dwu kanadyjskich poetów, z którymi pracowałem w głównym, neogotyckim budynku uniwersyteckim o pięknej kwadratowej wieży, w London, Ontario. Jednym z nich był anglista James Reaney, dramaturg i poeta, drugim, młody asystent na anglistyce, poeta i filmowiec, który później dopiero miał zasłynąć jako wspaniały powieściopisarz, Michael Ondaatje. Jego wiersz w „Oficynie" z pewnością był jego polskim debiutem. Nie doszedł natomiast do skutku sugerowany w jednym z listów tom przekładów poezji Louisa Dudka, poety kanadyjskiego polskiego pochodzenia, którego poznałem w Montrealu w 1971 roku.

Kiedy w latach sześćdziesiątych zamykał się miesięcznik młodych „Kontynenty", mógł był znaleźć kontynuatora w Czesławie Bednarczyku, ale miał on własne plany i ambicje hołubione od wielu lat. Mógł też czuć do młodych pisarzy pewne rozczarowanie, a nawet żal, że wobec starszych kolegów nie wykazywali należnego entuzjazmu czy pietyzmu, że nie inspirowała ich twórczośc średniego pokolenia poetów, którzy na emigracji pozostali bez własnej platformy i rzeczników. Młodzi wprawdzie głosili także obcość poezji skamandrytów, nie opowiadali się też zbyt ciepło po stronie awangardy, ale równocześnie nie doceniali osiągnięć poetów średniego pokolenia, nie brali ich sobie za wzór, a zerkanie na równieśników w Polsce nie mogło się podobać.

W swoich wspomnieniach zatytułowanych „W podmostowej arkadzie” Bednarczyk oceniając krytycznie londyńską scenę nie pominął grupy młodych poetów skupionych przy piśmie „Merkuriusz Polski” a potem „Kontynenty”. Wyszliśmy w porównaniu z innymi, myślę, dość obronną ręką.

Nie zabierając głosu w imieniu wszystkich, sądzę, że wymienione w książce nazwiska naszych domniemanych wzorców wybrane zostały dość arbitralnie. Jerzego Niemojowskiego szanowałem za obsesyjną wręcz dedykację rzemiosłu poetyckiemu. Znalazł czas, by go w zupełności poświęcić pisarstwu i skupić się na swoim warsztacie. Tego tylko zazdrościć. Natomiast nigdy nie był mi wzorem czy mistrzem, jego utworów nie znałem dostatecznie, nie były w moim stylu. Podobnie mogę powiedzieć o Janie Brzękowskim. Nie spotykałem się z nim, nie korespondowałem, nie znałem jego wierszy. Tadeusza Sułkowskiego konsultowałem w sprawie przekładu prozy poetyckiej Jiméneza, jego poezje znałem i ceniłem, ale nie brałem wzoru. Zawsze mnie pociągała poezja Miłosza, wdzięczny byłem, że zechciał do nas przyjechać dwa razy. Zwróciłem się do niego z prośbą o współpracę i otrzymałem odeń tekst, który potem moi koledzy krytycznie roztrząsali. To wszystko. T.S. Eliota znałem jako tako, nie byłem weń zapatrzony. To, co pisze Bednarczyk o wpływach tych ludzi na naszą poezję, mnie raczej nie dotyczy.

Od lewej: Czesław Bednarczyl i Jan Darowski w Drukarni pod Arkadą, fot. arch. F. Śmieji.

Już w 1966 roku Czesław Bednarczyk omawiając antologię wierszy „Ryby na piasku” napomknął:

> Ma rację, wydaje mi się, Wacław Iwaniuk twierdząc, że grupa Kontynenty… prędzej czy pózniej doczeka się swego

> historyka. Doczeka się choćby dlatego, że powstała w bardzo niecodziennych warunkach. Pamiętam doskonale nacisk gospodarzy i rodaków im pomagających kierowania młodzieży na studia techniczne, jak to się mówiło, i praktyczne. I właśnie pojawienie się grupy młodych ludzi interesujących się naszą literaturą i naukami humanistycznymi, mozolących się nad poprawną polszczyzną, piszących i ogłaszających wiersze i artykuły w „niepraktycznym" języku – musiało wzbudzić u starszych zrozumiałe zainteresowanie i dużo należnej sympatii.
>
> …Z radosną zazdrością patrzyłem na młodych zrzeszających się w imię polskiego słowa: czytałem zawsze z przyjemnością, choć zawsze przesadzone i na wyrost, wzmianki w prasie emigracyjnej o nich.

Chętnie się z powyższym zgodzę, a nawet nie protestuję, kiedy ciągnąc dalej powiada

> Łatwość druku, częste i za byle co dawane nagrody dla młodych adeptów sztuki poetyckiej tylko ich rozzuchwalało. Wieczory autorskie w kadzidlanym dymie i wzajemnych koleżeńskich pochwałach u wielu co najmniej wywoływały pobłażliwy uśmiech. Nawet Grydzewski drukował im, łamiąc zasadę, wiersze bez znaków pisarskich i wszystko małą

> literą. Tego mu chyba ortodoksyjni Skamandryci nigdy nie wybaczą.

No, ale jak wcześniej powiedziałem, nie wypadliśmy w sumie tak źle. Innym się dostawało mocniej, bo życie miewa swoje nieodzowne amplitudy. Nawet Bednarczyk później zauważył:

> gdy teraz spoglądam wstecz, widzę potrzebę istnienia obok siebie i pochwał i skrajnej nawet krytyki wraz z niechęcią ludzi usiłujących szkodzić.

Nie zdążył jednak, jak zamierzał, odpowiedzieć na atak kilku osób, które w „Kulturze" podpisały list w obronie domniemanie szkalowanego przez Bednarczyka Bronisława Przyłuskiego.

Nie godząc się na zarzut, 'że prawie wszystkich nie lubi',Bednarczyk odpowiedział w liście do „Kultury" (3/534 z 1992 roku), że to nieprawda, ale przyznał, że

> Nie lubi i nie szanuje tych tylko, którzy przywłaszczyli sobie pieniądze społeczno-państwowe, którzy brali i biorą od obcych pieniądze: obojętnie od czerwonych, czarnych czy białych, nie lubi przedwojennych endeków, którzy na

> emigracji udają filosemitów, nie lubi byłych komunistów udających dzisiaj ideowych patriotów, nie lubi socjalistów…

Bednarczykowie mieli piękny domek z pielęgnowanym ogródkiem, do którego uciekali po pracy spod hałaśliwego mostu. Czesław pisał rzetelne, cenione wiersze, pochodzące z dojrzałego, warsztatu, a świadczące o wyrobionym smaku autora i gustownie je wydawał. Krystyna debiutowała późno, ale zdołała uchwycić własny głos i pisała teksty, które się podobały.

Nie da się zaprzeczyć, że oboje ciężko pracowali, znajdywali od czasu do czasu wsparcie i dobrych przyjaciół, ale nie potrafili wybić się na tyle, by wolni od koniunktur miejsca i czasu, mogli byli swobodnie i na dłuższą metę wydawać pokupne książki. Ich dzieło imponuje zważywszy skromne warunki lokalowe i ludzkie. Stanowili jedną z tych witalnych cząstek ofiarnej i patriotycznej emigracji, która już nie miała się doczekać godnych następców, gdyż była nietypowa i niepowtarzalna.

Oficyna z jej półtysięczną listą wydawnictw to pomnik wielkiego wysiłku, wprawdzie papierowy, ale trwalszy od spiżu.

Poeta pamięta. Stanisław Januszko (1914-2002).

Florian Śmieja

Wiersze Stanisława Januszki przez kilkadziesiąt lat ukazywały się na łamach polonijnej prasy w Toronto oraz w osobnych zbiorkach fundowanych przez jego licznych, lojalnych przyjaciół. Poetą był z zamiłowania. Pisał z serca płynące niewyszukane rymy:

> Jestem synem ludu, fabrycznym robotnikiem i moim braciom robotnikom pisałem i piszę proste, zrozumiałe wiersze. Unikam i nie używam słów trudnych, niecodziennych, kwiecistej retoryki i wieloznaczności metafor. Poszedłem i dążę w przeciwnym kierunku – jak najbliżej treściwej prostoty i sielankowej śpiewności.

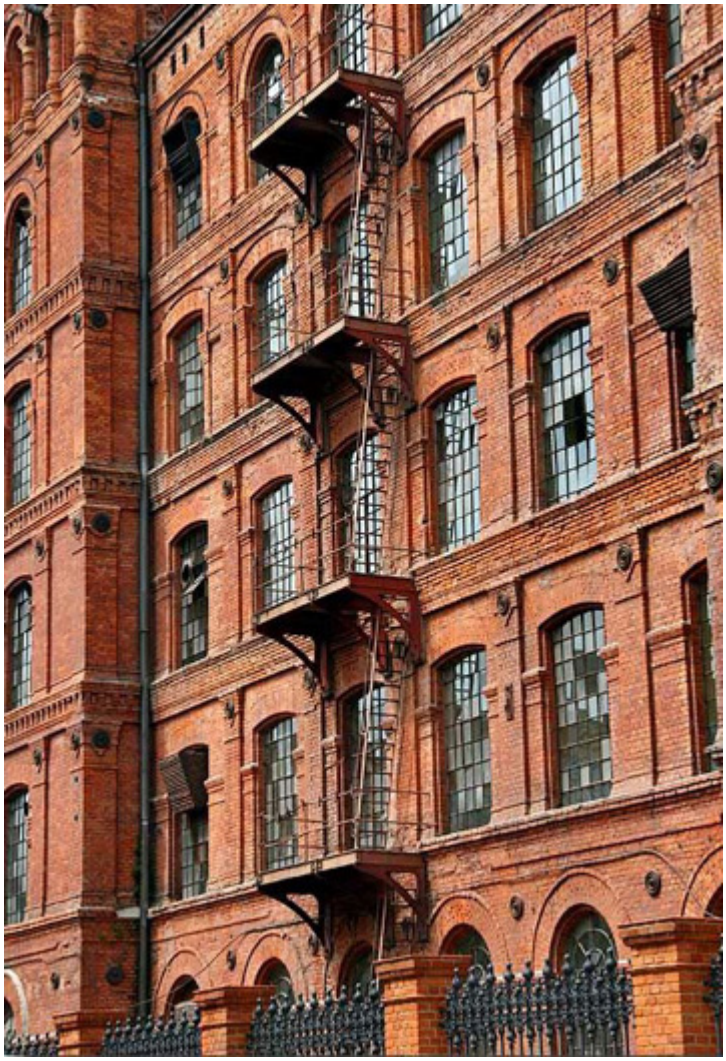

Żyjemy w czasach alienacji poety czy artysty, kiedy to czytelnik, widz albo słuchacz nie nadąża za szukającym za wszelką cenę oryginalności czy sensacji, twórcą. Ten ostatni przestał zresztą liczyć na odbiorcę, martwić się, czy pisze lub tworzy wyłącznie ze snobizmu dla podobnego do siebie konsumenta czy elitarnego krytyka, w kompletnej społecznej próżni. Z drugiej strony, odbiorca przestał popierać niezrozumiałe dla niego teksty czy cenić bohomazy nie słuchając zaklęć domniemanych znawców hołdujących kreowanej modzie i wymyślających happeningi lekceważące a często niepokojące doświadczenia i odczucia ludzi. Trywialność tematu tuszowana ekstrawagancją i pretensjalnością form coraz częściej maskuje brak talentu ambitnych szarlatanów. Zabrakło naszej epoce odważnego dziecka, które by całej tej zabawie krzyknęło, że “król jest nagi”.

Pozostały więc połacie życia opuszczone przez współczesnego artystę goniącego za mirażem i rezygnującego z kontaktu z

odbiorcą. Są one chętnie zawłaszczane przez popularną, młodzieżową muzykę. Pozostają również na placu duchy mniej obrazoburcze, nie uważające nowości za najważniejszy atrybut dzieła, nie gardzące tradycyjną budową wiersza i nie udziwniające języka, preferujące klarowność nad zawirowania i mętniactwo, nad modne niezrozumialstwo. Nie lękał się Januszko, że go brali za poetę naiwnego lub gorzej jeszcze nazywali różni konstruktorzy rebusów, których żaden czytelnik nie brał do rąk, a jeżeli wziął, to nie pochwalił, że dostarczyły mu estetycznego przeżycia.

W wydanym w 1973 roku debiutowym tomiku "Wszystko przemija", Januszko prosząc o życzliwe, bratnie przyjęcie wyznał:

> W długim mozolnym ćwierćwieczu w chwilach wolnych od pracy zarobkowej w fabryce, napisałem mnóstwo wierszy.

W tych jego lirykach, satyrach, aforyzmach i wierszach okolicznościowych, pobrzmiewa nuta patriotyczna, męska, bez szowinizmu czy megalomanii. Jest to uczucie szczere, synowskie, szanujące prawa innych lecz karcące bez ogródek tych, co "Na Polskę ciągle złośliwie warczą". Chcę wierzyć, że Januszko w czasie długiej choroby nie czytał tekstów różnych dziwaków pomstujących np. na poetów, którzy wracają do Polski, bo powrotem swym "zdradzają Amerykę"!

On, żołnierz Września i AK nie wstydził się przyznać do tęsknoty:

> I cóż ja zrobię, że pod obcym niebem
>
> na ziemi szczodrze darzącej mnie chlebem
>
> śnią mi się często nasze polskie niwy.

A przecież jego życie w Kanadzie od 1948 roku nie było wcale łatwe. Był imigrantem skromnym, wdzięcznym, człowiekiem może już starej daty. Nie uważał, by mu się od innych należało. Nie identyfikował się również z bracią zjednoczoną nad kuflem. Przyglądał się bez entuzjazmu ziomkom, których tak widział:

> Więc tańczą i piją rodacy ochoczo
>
> Nietrzeźwi, bezmyślni przez życie się toczą.

Był obserwatorem a i wizjonerem czasów, które miały nadejść u schyłku jego życia. Doświadczył jeszcze lektury i najświeższych ekscesów żywiołu przybyłego do Kanady pod koniec wieku, ludzi lubujących się w używaniu rynsztokowego języka, z lichymi

manierami dziennikarskimi, szalbierzy z dobrej szkoły, skoro nie wyleczyli się przez przyjazd na ten kontynent, pokazujących, że przeszłość naznaczyła ich na zawsze. Zajmą się ich językiem z pewnością zawodowi poloniści i udokumentują ten smutny okres polonijnego dziennikarstwa w Toronto ukazując spustoszenia w psychice ludzi, którzy myśleli, że się salwowali z dziedzictwa PRL-u chroniąc się w Kanadzie i tworząc balowo-kabaretową emigrację..

Januszko pisał wiersze gładkie, niewyszukane, zgrzebne ale nieskalane, posługiwał się czystą polszczyzną, wnosił niepożytą nutę nadziei Miał, mówiąc językiem Herberta, smak, gardził smaczkiem. Sądzę, że to do jego mało nowatorskich, staroświeckich tekstów, a nie do brukowych dzienników zaglądał będzie kiedyś socjolog i historyk, by znaleźć wiarygodne świadectwo i komentarze do stanu naszej sytuacji psychicznej i społecznej, bo był z tych nielicznych, którzy mogli o sobie powiedzieć:

> Nie wchodzę w żadną stęchłą kałużę
>
> I wszystkim śmiało spogladam w oczy.

Jego słowa będą probierzem, korekturą nieskromnych hagiografii i kupnych panegiryków różnej maści uzurpatorów i

hochsztaplerów, którzy są zaprzeczeniem jego etosu służby i bezinteresowności.

Bibliograf prasy emigracyjnej. Jan Kowalik (1910-2001).

Jan Kowalik z żoną, fot. arch. F. Śmieji.

Florian Śmieja

W Kalifornii 12 lutego 2001 roku zmarł po długiej chorobie Jan Kowalik czyli Jan Sławiczek ze Skoczowa. Pamiętam moje pierwsze spotkanie w San José, dokąd pojechałem chcąc poznać wspaniałego ziomka, człowieka-instytucję, mającego ogromne zasługi dla kultury polskiej, a zwłaszcza dla bibliografii

czasopism.

Kowalik urodził się w Skoczowie w 1910 roku, kształcił się w seminarium nauczycielskim, został nauczycielem i debiutował w prasie przed wojną. O historii swej edukacji napisał tak:

> W zasadzie, od dziecka począwszy, uprawiam samokształcenie. Formalnie ukończyłem Seminarium Nauczycielskie w Bielsku-Białej oraz jako eksternista Państwowy Kurs Nauczycielski w Mysłowicach i Krakowie. Na kilka lat przed wojną imatrykulowałem się jako student zaoczny na Jagiellonce w Krakowie (Historia u Dąbrowskiego, i Psychologia u Heinricha) dojeżdżając z Mikołowa do Krakowa pociągiem kilka razy w tygodniu, ale zabawa skończyła się gruźlicą, i musiałem przerwać studia, nie kończąc niczego. Mogłem edukację formalną dokończyć kiedyś po wojnie, ale zająłem się dokumentacją z nakazu zapotrzebowania społecznego, i rezygnując z zaszczytnych tytułów naukowych. Uczę się jednak dalej…

Po wojnie Amerykanie oswobodzili go z niemieckiego obozu pracy. Najpierw był pacjentem sanatorium dla chorych na gruźlicę a następnie jego administratorem. Potem został komendantem obozu dla uchodźców. Wyjechał do Stanów Zjednoczonych w 1950 roku, a dwa lata poźniej osiadł w

Kalifornii.

Jeszcze w Niemczech założył tygodnik „Polak w Waldeck” i współpracował z „Ostatnimi Wiadomościami”, „Słowem Katolickim” i „Kroniką”. Wydał zbiorki wierszy „Ścieżka przez Steinatal” (Monachium 1947) i „Wiatr w gałęziach” (Monachium 1948). W tym też czasie zainteresował się bibliografią, tak że do USA wiózł już bogate archiwum.

Jego życie było pełne utrapień, ustawicznie musiał baczyć na stan zdrowia. W liście z roku 1959 wspomina kurację sercową przeprowadzoną w Niemczech, kilka lat później, w 1963 skarży się, że ma:

> […] dużo pracy, ciągłe chorowanie, a ostatnio przeprowadzenie się do nowego miejsca zamieszkania, czyli przenoszenie kilku tysięcy książek i roczników prasy mego „Polish Emigré Press Archive”, budowanie na nowo półek bibliotecznych, katalogowanie, oprawianie, itd. itd., co przy moim stanie zdrowia było wyczynem omalże Herkulesowym.

Borykając się ponadto przez cały czas z kłopotami finansowymi poświęcił długie życie dokumentacji historyczno-bibliograficznej Polaków rozproszonych po świecie. Dziesięciolecia wytrwałej pracy zaowocowały szeregiem publikacji bibliograficznych z

sześciotomową bibliografią czasopism polskich wydanych poza granicami Polski od września 1939 roku na czele. Cenzura PRL-u szczególnie długo przetrzymała piąty tom. Skarżył się Kowalik w jednym z listów:

> […] piąty tom mojej bibliografii prasy leży w KULu, to znaczy u wydawcy od przeszło roku, i cenzura odkryła nagle, że ta biedna najsuchsza ze suchych książek, szkodzi politycznie Polsce Ludowej i stawiają coraz to nowe żądania odnośnie zmian tekstu.

Dziś to monumentalne dzieło dokonane przez jednego człowieka, a wydane przez Katolicki Uniwersytet Lubelski w latach 1976-88 stanowi zasadniczy fundament naszej wiedzy o przedmiocie. Ciężka choroba Kowalika utrudniała mu ukończenie szóstego tomu, a tysiące pozycji bibliografii polskiej diaspory czekało na opracowanie. *Bibliografia to bardzo niebezpieczne zajęcie, bo jak się raz zacznie, to później bardzo trudno skończyć*, zwierzył się kiedyś.

Już w Stanach Zjednoczonych Kowalik pełnił funkcje redaktora pism „Polak w Kalifornii” i „Migrant Echo”. Publikował m.in. w paryskiej „Kulturze” i torontońskim „Związkowcu”. Otrzymał nagrody Alfreda Jurzykowskiego (1968) i Anny Godlewskiej (1973). Kontynuował również zamiłowania literackie wydając

wiersze „U drzwi Twoich” (Paryż 1985), a w Albany, USA, „Exsul familia” (1983), „Zatrzymać czas” (1987), „Zapis w kalendarzu” (1989) oraz prozę „Krzyż Malika” (1985). Jako czwarta pozycja lublińskiego „Akcentu” wyszły jego „Wiersze wybrane”. To duża satysfakcja doczekać wydania wierszy w Polsce, tam gdzie znajduje się właściwy czytelnik,. Bo każdy emigrant, który nie z własnej woli znalazł się na obczyźnie, pragnie dotrzeć do odbiorcy w rodzinnym kraju.

Poezje Kowalika mówią przede wszystkim o tęsknocie do swoich stron i drogich osób. Są proste, ciepłe, ludzkie. Nie potrzebują reklamy, nie epatują techniką. Skromne i szczere doskonale oddają niełatwe zgodzenie się na poniewierkę, na sytuację bezprzydziałowego tułacza, któremu „wycieka z żył/ nadzieja”. Poeta hołubi romantyczne wartości bez żenady, szuka w końcu ojczyzny uniwersalnej, przejścia „przez inne drzwi”:

> do Polski tej wiekuistej
>
> jasność oglądać Bożą

Na początku tej drogi były inne momenty. Jedną z ciężkich rozterek utrwalił wiersz „Korespondencja”. Twarda konieczność czasów zimnej wojny sprawiła, że słowa kochanej osoby „stamtąd”, które najpierw brzmiały – „Kocham…czekam…Kiedy”

z czasem zamieniły się w „Pamiętam, nie czekam, rozumiem”.

Wydawać by się mogło, że znalazłszy się w Kalifornii emigrant nie będzie już niczego potrzebował. Ta pożądana przez tak wielu ludzi ziemia, owszem, objawia się Kowalikowi w całej swej krasie, ale on tym niemniej wzdycha:

> Żeby tak jeszcze
>
> kilka taktów skowronka

W innym utworze napisze:

> Tylko z oczyma źle:
>
> patrzysz na Santa Cruz mountains
>
> a widzisz
>
> Beskid

Przetrwać w obcym krajobrazie i wśród innych ludzi pozwala

łatwiej nowy dom odpowiednio przystosowany i oswojony.

Pisze poeta:

> Ogrodzę cię kołem grzybów
>
> Psem legnę na wspomnieniach.
>
> Polskę tu swoją założę!

Nieustająca miłość do Polski, ten przysłowiowy już i może mało przez nowe pokolenia zrozumiały patriotyzm ludzi urodzonych między wojnami, nie jest ślepy. Poeta zdaje sobie sprawę ze złych cech swoich rodaków mówiąc „Ojczyzno, czas ci się zmienić”. Dumny jest z tego, że w życiu nie szukał majątku, nie biegł tam, gdzie jest dostaniej. Bo „chociaż rozkazy przebrzmiały,/sztandar nam oczy przesłania/ nadzieja rozumy”. Pociesza się, że

> Legenda nas kiedyś uskrzydli.
>
> Tymczasem –
>
> Jak każdy pomnik –

> Truje nas grynszpan niezgody,
>
> Rdzawi nas czas…
>
> Także tę wolność
>
> Psiakrew!!
>
> Naszą i waszą.

Gorzkie słowa, które, niestety, nie tylko na emigrację, ale na całą polską rzeczywistość rozciągnąć można. Myślę, że tak już inni, młodsi poeci poza krajem tęsknić nie będą.

Redaktor torontońskiego półtygodnika Benedykt Heydenkorn nazwał Kowalika „świeckim patronem prasy emigracyjnej”. Pamiętam apele Kowalika drukowane w emigracyjnych pismach o zachowanie „starych papierzysk”:

> …nie bądźcie bez serca dla tych pożółkłych biuletynów obozowych, nadgryzionych gazetek polowych i zleżałych płacht polonijnych tygodników. Taż to część Ojczyzny, która za Wami szła, i z Wami zostaje. Nie telefonujcie zaraz po śmieciarza. Pomyślcie, że „Polska to wielki zbiorowy obowiązek”, w którego spełnieniu możecie właśnie

> dopomóc.

Odszedł jeszcze jeden z wielkich zasłużonych emigracji niepodległościowej do końca swojej ziemi wierny.

Klarnecista z Auschwitz. Wojciech Gniatczyński (1924-1985).

Florian Śmieja

Wojciech Gniatczyński na zawodach lekkoatletycznych na Uniwersytecie w Cork.

Wojtka poznałem jesienią 1947 roku na studiach w Irlandii Południowej. Mieszkaliśmy w tej samej bursie, razem uczęszczaliśmy na wykłady, bywaliśmy w tych samych lokalach. Swoim uśmiechem i ujmującą nieśmiałością ten wysoki i

przystojny szatyn potrafił oczarować każdego. Widzę go jako człowieka schorowanego po przeżyciu obozu w Auschwitz i Dachau. To te ciężkie doświadczenia, pewny jestem, spowodowały także opory i wahania, które hamowały i ograniczyły jego twórczość literacką.

Już w irlandzkim mieście Cork wybijał się wśród kolegów wszechstronnym oczytaniem i pięknym, precyzyjnym językiem. Kochał muzykę i malarstwo. Pisał i przekładał z angielskiego i nie spieszył się z drukowaniem. Czekał na przychylniejsze czasy, które długo nie nadchodziły. Najpierw przeszkodę stanowiły niepewne warunki materialne, potem, niemożność opanowania choroby. Może nauczony cierpliwości, potrzebował większego dystansu do pisanych tekstów? Wiele lat później w ostatnim liście z Monachium w roku 1982 donosił, że lekarze wreszcie postawili właściwą diagnozę jego uciążliwej choroby płuc. Ufał, że wyzdrowieje, przejdzie na wcześniejszą emeryturę i będzie mógł w końcu swobodnie pisać i wydawać.

Będąc, jak zwykł był mówić, jednym z tych niepraktycznych młodych, którzy na obczyźnie poszli na studia humanistyczne, borykał się potem w Londynie z trudnościami nie mogąc znaleźć zatrudnienia. Od pracy fizycznej uchroniło go wydawnictwo Veritas, w którego pismach „Życie” i „Gazeta Niedzielna” pojawiły się pierwsze utwory Gniatczyńskiego w postaci artykułów publicystycznych, krytycznych i wierszy. Dzięki

animatorowi emigracyjnych debiutów w Londynie, poecie i poloniście Józefowi Bujnowskiemu, w 1954 roku ukazał się tom poezji Gniatczyńskiego „Próby” (Polskie Towarzystwo Literackie, Londyn), dziś prawie nieznany, bo nakład był niewielki, a autor nie zatroszczył się, by go szerzej rozprowadzić .

Te pierwsze wiersze pisane były we Włoszech, Irlandii i Londynie. Objawiają one poetę dyskretnego, delikatnego, nie celebrującego swojego dokonania. Charakteryzuje je melancholia i zaduma nad złożonością świata i ludzi. Gniatczyński już wtedy rozróżniał „Dym, znak życia. Dymiący komin to znaczy ciepło, kobieta przy piecu.” Ale znał również dym inny „Dym śmierdzący, żółty – z krematorium”. Poznał też i starał się wyrazić miłosną udrękę, mocował się z istotą Londynu, w którym usiłował się zadomowić. Wraz z Olgą Żeromską i Januszem Jasieńczykiem (Poray-Biernackim) mieszkał we wspólnym mieszkaniu-pracowni, zwanej kahałem.

Z sympatią przyglądał się wykluwaniu się pism młodych w latach pięćdziesiątych w Londynie. Nieco później w swoim liście z Monachium wspominał:

> …na pewno pamiętasz jakeśmy w Veritasie łamali pierwsze numery „Życia Akademickiego” – a ostatecznie to był praszczur obecnych „Kontynentów”. Pamiętam też, że sobie

> wtedy z trudem zapracowane 10 s. (szyligów – FS) odmówiłem, żeby kupić „dożywotnią” prenumeratę – hej, łza się w oku kręci!

Z wysokości swego doświadczenia dodał wtedy rzeczowo:

> Jedna sprawa która jest w moim przekonaniu najistotniejsza. Jakiekolwiek pismo literackie musi mieć pewien po prostu czysto zewnętrzny rozmiar. „Kontynenty” są za małe – cóż tam się zmieści? I dlatego wydaje mi się, że bez subsydium pismo nie może ujechać. Zresztą chełpienie się, że „my bez subsydium” jest zupełnie dziecinne. Dzisiaj nie ma na całym świecie ani jednego pisma literackiego bez subsydium. Może jedne „Wiadomości”, ale Grydzewski też na pewno skądś dostaje pieniądze, tylko ta sprawa nigdy jeszcze nie wypłynęła – *as far as I know*. Ostatecznie instytucje i ludzie z pieniędzmi po to są, żeby je wydawać na rozsądne cele. I tak było zawsze, zawsze sztuka etc. musiały mieć swoich mecenasów. Słowem jest to sprawa, nad którą powinieneś się poważnie zastanowić.

Kiedy zaofiarowano mu pracę w radiu, musiał opuścić literackie środowisko Londynu, lecz również w Monachium wśród kolegów w pracy znalazł kongenialnych ludzi i ciekawych pisarzy jak

Tadeusz Nowakowski czy Czesław Straszewicz. Gniatczyński nie był pisarzem płodnym. Pisał szkice krytyczne, przekładał bez pośpiechu. Pamiętam, że dokonał przekładu sztuki irlandzkiego dramatopisarza J.M. Synge'a, tłumaczył Tomasza Moore'a, Shelleya, Eliota, Conrada. Wiersze drukował rzadko, najchętniej w „Wiadomościach", dlatego ubolewał, kiedy przestały w 1981 roku wychodzić.

Choć wyjechał z Anglii nadal życzliwie obserwował losy pism, z którymi współpracowałem. Nie znaczy to, by przyjmował wszystko za dobrą monetę. Znajdując się w samym środku walki ideologicznej i dysponując bogatą znajomością spraw obozu komunistycznego, wytykał w swoich listach naszą ślepotę i pochopne sądy. Nawiązując do obranej dla antologii naszej poezji metafory „ryby na piasku" napisał:

> Zawsze natomiast zarzucałem „rybom na piasku", że obojętnie płyną swoimi rzeczułkami, nie zważając na trzepotanie się w pobliżu innych rybek, złapanych w sieci przez totalistów. Czerniawski pisze, że Iwaniuk oskarża komunistów, a nie widzi niesprawiedliwości w Kanadzie. Przecież porównywanie jednego z drugim to wierutne głupstwo. No właśnie: to jest to czego nigdy nie rozumiałem.

Dla poezji Gniatczyński miał zawsze wysokie uznanie. Ideał

widział w poezji zwięzłej, używającej trafnego słowa, bez taniego nowatorstwa. W jej naturze spodziewał się wieloznaczności i niesprawdzalności w wyrażanej przez nią uczuciach. Nie łączył jej z intelektem, ale ze świadomością, a więc ze zjawiskiem niejasnym i zamazanym. Wedle niego poeta dobiera słowa do słów i nie należało go pytać o intencję, bo sam twórca bardzo szybko nie pamięta i nie rozpoznaje elementów autopsji i zmyślenia. Jego zdaniem, sam utwór sobie wystarcza i przedstawia sobą nową materię. Do wierszy politycznych podchodził z mniejszą konsekwencją. Raz ich nie uznawał twierdząc, że poezja jest zawsze „implicite" a nie „explicite", ale kiedy indziej chwalił funkcję upolitycznionych wierszy jako siłę mobilizującą duże rzesze odbiorców.

> Moim zdaniem – napisal kiedyś w liście – w poezji nie ma miejsca na słowa dziwne, na popisywanie się leksykonologiczne. Moim zdaniem, prawdziwa poezja to poezja najprostsza – ale nie tą kłamaną, rzekomą prostotą Kasprowicza, tylko prostotą Mickiewicza. Słowo „łzy" jest tak oklepane, że się od niego rzygać chce – ale przecie „Polały się łzy me…" – to właśnie poezja.

Wojciech Gniatczyński, fot. arch. Floriana Śmieji.

Tom „Wiersze dla Magdalenki” wydany po śmierci był drugą książką Gniatczyńskiego i nie obejmuje całej jego spuścizny poetyckiej. Nieomal wszystkie teksty, które zawiera, były wcześniej drukowane w czasopismach emigracyjnych, choć zebrane stały się łatwiej dostępne dla zainteresowanego czytelnika. Podzielone zostały na cykle: „Pejzaż z postaciami”,

„Dzieci”, „Wiersze krótkie”, „Czarne nagietki”, „Spostrzeżenia z morałem”. Towarzyszą im przekłady tak różnych poetów jak Janos Pilinszky, P.B. Shelley i Theodore Roethke.

Poeta mówi w nich o samotności, o znikomości rzeczy, o straconej miłości. Potrąca też strunę bolesną – do końca głęboko skrywane przed innymi przeżycia obozowe. Nie opowiadał o nich nigdy, ponoć dopiero na łożu śmierci wróciły w majakach. Być może Gniatczyński ocalił swe życie, bo grał na klarnecie w obozowej orkiestrze.

W wierszach, w których tę tematykę porusza, nie mówi jednak o sobie, mówi o dzieciach. Przypomniał ich tragedię przyrównując ich los do zagłady ufnych dzieci, które przed wiekami wyruszyły na krucjatę, z której już nie miały powrócić. I zapamiętał, że przyroda pozostała obojętna na to, co się dokoła działo. Stanowiła tło zarówno dla sielanki, jak i dla masakry. Była tylko częścią okrutnego czasu. Poeta napisał:

> A niebo było błękitne
>
> jak cyklon w komorze gazowej.

Tylko ironia i paradoks mogły towarzyszyć mu w wycieczce w krainę nieludzką zbrodniczej przemyślności zdeprawowanego człowieka:

> Ciężka na świecie zima
>
> polska.
>
> Na grudzie zeschnięte
>
> zielska.
>
> Tylko w komorze gazowej
>
> ciepło.
>
> Tylko w sercu człowieka
>
> piekło.

Lektura tej poezji, tak jak lektura każdego prawdziwego pisarza, zmusza do zastanowienia się nad wieloma pytaniami, które stawia (z pewnością nie są to wiersze tylko dla córeczki), każe też boleć nad losem całej twórczości Gniatczyńskiego, nie dokończonej i rozproszonej. I nie napisanej. Poeta, niewątpliwie

obdarzony talentem, nie zdołał napisać dzieł, których mogliśmy słusznie się po nim spodziewać. Zabrakło mu okresu spokoju, by mógł wylać na papier to wszystko, co go przez lata nurtowało i powoli dojrzewało. Musimy natomiast zebrać teksty wydane i rozproszone po czasopismach czy pozostające w rękopisie. Zachowując pamięć uroczego człowieka, nie zapominajmy o skompletowaniu jego twórczości, której jedynie cząstkę posiadamy.

Pamiątka po księdzu Janie

Ksiądz Jan Twardowski (1915-2006), Warszawa. 19.11.2001 r., fot. PAP/Andrzej Rybczynski.

Florian Śmieja

Ks. Jan Twardowski należy do tych poetów, których każde wydawnictwo opublikuje z przyjemnością i korzyścią. Jest lubiany, a książki jego znajdują chętnych klientów. Obok noblistów i ocierających się o nich Herberta i Różewicza, postać drobnego księdza musi zastanawiać. Nie posiada on wieszczego głosu, ani nie propaguje modnej filozofii, nie epatuje też chwytliwą formą. Łapie na wypróbowany, staroświecki lep: najzwyklejsze słowa człowieka i podbija najszersze kręgi czytelników.

W Warszawie chodziłem do sióstr wizytek na jego wczesne msze, raczej na kazania dla dzieci, takie śmieszne, proste i krótkie. A może to już było pod koniec jego posługi? Nie wiem. W wierszu napisałem, że trzyminutowe. Może przesadziłem. Ale były niepowtarzalne.

Dlatego z radością niosłem księdzu Janowi książkę przyjaciela, profesora Jerzego Pietrkiewicza z Londynu, prezent, którego nie zdołał sam przekazać. Po nabożeństwie poszedłem do ogródka za kościołem, odczekałem swoją kolejkę, bo byli inni petenci i wszedłem po schodach do pokoju na pierwszym piętrze domku.

Odebrawszy prezent ksiądz Jan sięgnął po małą, zieloną książeczkę. Wpisał na stronie tytułowej "I.I. Florianowi Śmieji najserdeczniej" i podpisał się dając datę. Była to skromna publikacja "Niecodziennik", zbiór anegdot i uciesznych dykteryjek, z których zacytuję ostatnią:

> Jestem bardzo wdzięczny tym, którzy pisali recenzje i artykuły o moich wierszach. Stale się od nich uczę. Zdarzało się jednak, że omawiając moje wiersze pisano o dialektyce, antynomiach, Pascalu, Heraklicie, Heglu, koegzystujących realiach. Przeraziłem się.
>
> Otworzyłem tom moich wierszy i natrafiłem na takie teksty:

> “polna myszka siedzi sobie, konfesjonał ząbkiem skrobie”, “kto bibułę buchnie, temu łapa spuchnie”, “siostra Konsolata, bo kąsa i lata”, “rysowałem diabła bez rogów, bo samiczka” – i uspokoiłem się.

Obiecaliśmy sobie modlić się za siebie, a niepokaźny “Niecodziennik” stanął dumnie obok pięknych tomów wierszy poczytnego poety, który posiadł rzadki dar prostoty.

Florian Śmieja

> POCIECHA
>
> To bardzo pocieszające
>
> że mimo promocji bełkotu
>
> układów i mistyfikacji

wbrew kumoterskiej krytyce

górują nadal czyste głosy

Herberta, Miłosza i Twardowskiego

że ze złomowiska instalacji

spod ezoterii i kuglarstwa

snobizmu i patologii

wydobywamy wciąż jeszcze

pożywny chleb poezji.

KSIĄDZ JAN

Dla M.P.

Już pochylony co niedzielę

wygłasza u sióstr wizytek

poetyckie homilie

dla niewiniątek w każdym wieku.

Bezkonkurencyjnie

wpisał się do księgi Guinnessa

za najkrótsze kazania

a jeszcze pewniej

w serca swoich słuchaczy

bezradnie wyciągających szyje

by niczego nie uronić

z jego mądrych szeptów

lecz rozumiejących bezwiednie

że dobroć słów nie potrzebuje.

Notatki spod Monte Cassino

Józef Poniatowski

Fragmenty pamiętnika z lat wojennych, opracował Florian Śmieja.

Józef Poniatowski na Bliskim Wschodzie, fot. arch. Zofii z Poniatowskich i Floriana Śmiejów.

[…] Staraliśmy się o ten wyjazd od kilku tygodni. Mieliśmy wyjechać 8.V., ale potem przyszło zarządzenie, podobno generała Andersa, żebyśmy przyjechali 13-tego, bo akcja zacznie się 15-tego.

Wyjechaliśmy tedy w sobotę i koło 10 rano znaleźliśmy się w II rzucie Korpusu, o 2 km od od Venefro, w Sekcji Polowej Propagandy i Kultury. Zameldowaliśmy się u ppłk. Michniewicza. Przyjął nas uprzejmie, wyjaśnił bardzo ogólnikowo sytuację i nieco zmroził wiadomością, że gen. Anders nie tylko nie chce teraz zajmować się prasą czy korespondentami, ale jest przeciwny jeżdżeniu do oddziałów. Okazało się ponadto, że jest to skutek niepowodzenia w pierwszym natarciu.

Mamy pojechać do punktu opatrunkowego. Wita mnie kierownik punktu, porucznik-lekarz K. Opowiada, jak piekielną mieli robotę przez parę poprzednich dni. Przez ich ręce przeszli prawie wszyscy ranni Korpusu – ponad tysiąc. Było po kilkadziesiąt operacji dziennie. Prawie każdy potrzebuje co najmniej transfuzji krwi. Na trzy dni przed natarciem, Niemcy ostrzelali ich punkt zabijając dwóch lekarzy i kapelana. Stali wtedy o 3 km dalej, już blisko dolnego końca Inferno, ale po tym wypadku musieli się przenieść. Dr K. przyznaje, że nie jest pewne, czy Niemcy chcieli trafić w szpital. Wisiała wprawdzie wielka płachta z czerwonym krzyżem, ale była dość wyblakła, a wąwóz ostrzeliwują stale, bo wiedzą, że to ważna droga komunikacji. Przy tym, o parę godzin wcześniej udało im się „zmacać” i zapalić znajdujący się opodal skład amunicji.

W czasie naszej rozmowy, przysłuchujący się początkowo kapitan o okrągłej twarzy, odchodzi na bok, zakłada stułę i udziela

ostatnich Sakramentów leżącemu obok rannemu. Potem zdejmuje stułę i wraca do nas. Mamy wracać, ale czekamy pół godziny, ruch pod górą wciąż zamknięty.

Nam radzi pułkownik udać się przed północą z mułami niosącymi prowiant do 16. baonu, nie ma nic przeciw temu, żebyśmy dotarli do którejś z leżących na linii kompanii, Mułów jest kilkadziesiąt, wszystkie objuczone, poganiacze Cypryjczycy, podobno doskonale pracują, nasz oficer i dwóch żołnierzy. Noc ciemna, księżyc wzejdzie za parę godzin. Rozświetlają ciemności tylko błyski wystrzałów i wybuchów, czasem przetnie niebo łuk świetlnego pocisku. Ogień zresztą nie jest zbyt gęsty i nadal trudno zrozumieć, kto i do kogo strzela. Zdaje się, że to tzw. ogień nękający – dwie strony kładą wiązki pocisków tu i tam, zwłaszcza gdzie znając teren przewidują bądź nieprzyjacielską baterię, bądź skupienia ludzi czy transporty.

Idziemy jeszcze kilkaset kroków drogą w lewo, ku dolinie Maioli. Potem skręcamy od niej ścieżką wspinającą się zboczem na wzgórze Castiglione. Tempo marszu dość szybkie biorąc pod uwagę ciemność, pod górę i ciągłą potrzebę wyplątywania nóg lub głów z drutów telefonicznych. Czasu tracić nie należy bo jednak co noc na tych ścieżkach muły i ludzie giną, o czym świadczy dość często straszliwy zapach padliny. Palić tu już nie wolno, hałasować – jak najmniej. O kilka metrów przed tą zachodnią krawędzią, zresztą dość łagodnie zbiegającą ostatnie

dwa schrony, już najbliższe nieprzyjaciela wyjątkowo zakryte i z góry, z jednego z nich wyłazi kpt. Biegunowski, zastępca dowódcy batalionu, przebywający od paru dni z 2. kompanią

Kompania leży tu trzy dni. Zapytuję kapitana o warunki. Nie mają ze sobą ani koców, ani płaszczy. Spać w tych warunkach może tylko ten, kto już potwornie zmęczony. Prowiant przywożą w nocy mułami do batalionu, stamtąd – na ramionach. O ciepłej strawie nie ma mowy, o wodzie do mycia – również Pytam, czy te przypadkowe strzelaniny, tam i ówdzie padające pociski nie dały się we znaki, czy też kogo z kompanii uszkodziło. „Proszę zobaczyć” , odpowiada po prostu kapitan. Prowadzi mnie o 20 m w lewo od swego schronu: półotwarte stanowisko, na środku mała grządka zruszonej ziemi i kamieni, zatknięty nawet jakiś krzyżyk, o ile dobrze dojrzałem… „Tu spoczywa podchorąży i strzelec, siedzieli w tym schronie, pocisk trafił sam schron, nie było co ratować”. Idziemy o kilkadziesiąt metrów w tył. Kapitan szuka węchem i dotykiem i łatwo znajduje. „Tu także pochowaliśmy dwóch, ale to o dzień wcześniej od tamtych”. Trzeci grób widziałem na wstępie do kompanii. A więc w ciągu trzech dni bez większych działań, w oczekiwaniu, na odcinku podobnym do innych, kompania miała 5 czy 6 zabitych nie licząc rannych. Najbardziej uskarżają się na moździerze.Ale w dzień dają się także we znaki niemieccy strzelcy wyborowi.

Oprowadza nas po terenie swej kompanii i zarazem opowiada. Po

żołniersku, po prostu.Bierze mnie coraz większy dla tych ludzi podziw. Pytam, czy zmęczenie i stałe napięcie nerwów nie odbiera im zdolności do walki, czy nie łudzą się, że po paru jeszcze takich dniach ktoś ich zluzuje i pójdą na wypoczynek, czy rozumieją, że to dopiero wstęp, że przyjdzie największy wysiłek, w którym na nich właśnie przypadnie rola natarcia. To wszystko dobrze wiedzą. Wiedzą, że zadanie przez ich poprzedników przed paru dniami wykonane nie zostało, więc musi być wykonane przez nich. Spodziewają się każdej nocy rozkazu nacierania na Widmo i dalej na San Angelo. Nastrój twardego realizmu, coś wręcz przeciwnego do „słomianego ognia”, o który tak często i chyba nieslusznie jesteśmy pomawiani.

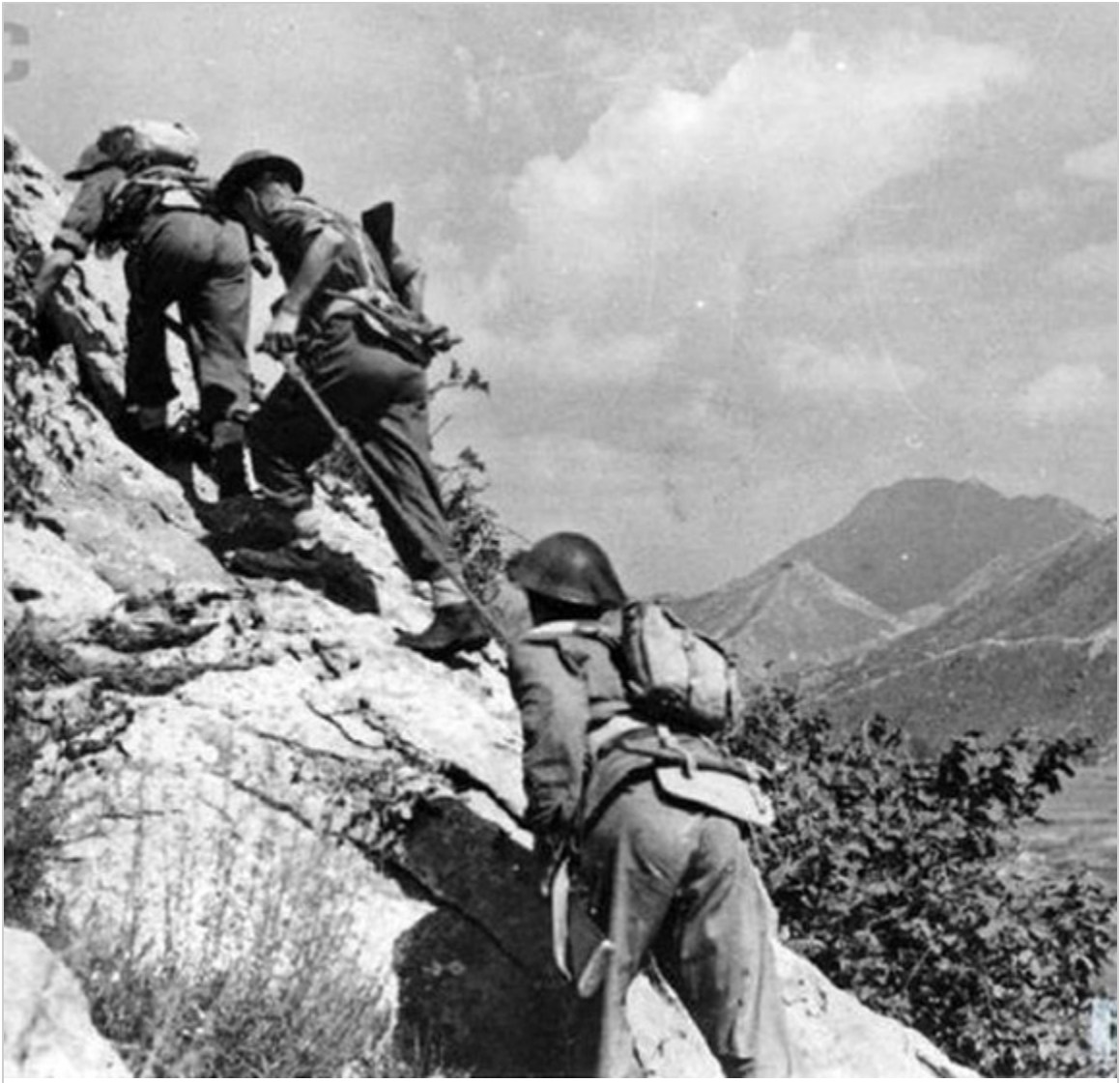

Polska Armia pod Monte Cassino, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 37-640-6, za pinterest.

Pomimo ciemności, horyzont rysuje się dość ostro, widać powyginaną linię wzgórz. Kapitan wyjaśnia: Maiola i ten grzbiet za nią, z naszej lewej strony – to region Karpackiej. Lewa krawędź tego grzbietu, za siodłem – to Monte Cassino, a to najwyższe wzniesienie na prawym końcu – to 593. Między nim i dalej w prawo, już przed nami położonymi San Angelo, 593 i in.,

w przedłużeniu Maioli to Gardziel Śmierci. W tym samym kierunku leży Masseria Albaneta – ruina pośrodku dolinki łączącej rejony działania obu dywizji. Jeszcze sporo w prawo wznosi się Monte Cairo, ale szczytu z powodu ciemności nie widzimy. Zupełnie już po prawej ręce leży Castel Belmonte, a już prawie z tyłu – Cifalos, skąd właśnie teraz strzela niemiecka artyleria. Ogień stamtąd najbardziej zdeprymował nasze bataliony 18 i część 13 na Widmie tragicznej nocy 11/12 maja, bo chłopcy myśleli, że są pod własnym ogniem.

Rzeczywiście, ogień artylerii, co prawda niezbyt gęsty, słyszymy ze wszystkich czterech stron. Z jednej własny, z trzech – nieprzyjacielski. Przypomina mi się bitwa pod Świszczowem w końcu lipca 1920 r., gdy także ogień był naokoło, ale tam rzeczywiście trzeba się było przemykać i wyślizgiwać będąc wewnątrz przeważających sił nieprzyjacielskich.

Jest już prawie pewne, że tej nocy zacznie się natarcie Rzeczywiście o 6. zaczyna się koncert, Muszę jednak przyznać, że przynosi mi trochę rozczarowania. Spodziewałem się więcej. Uprzedzano mnie wprawdzie, że na skutek interferencji fal głosowych huk jest mniejszy niż wynikałoby z dodawania wszystkich jego źródeł, ale przypuszczałem, że przynajmniej jest zupełna ciągłość huku, że nie będzie w nim przerw. Jakkolwiek nerwy były napięte przez samą świadomość, że oto o kilka kilometrów już się toczy walka na śmierć i życie, straszliwa

próba naszego Korpusu, od której zależeć może jego sława i uzyskanie nowego atutu dla sprawy polskiej, ale też i utracenie na długo zdolności bojowej – zapowiadało się na razie, że ten dzień będzie osobiście dla mnie prawie zmarnowany. Widoku z tej grupy schronów rozrzuconej w w obszernym gaju oliwnym – żadnego, zresztą wiadomo, że i dalej go nie ma, bo wszystko zadymione. Już znacznie wcześniej przyszła wiadomość, że jeszcze w czasie nawały artyleryjskiej, zaraz po 7 rano Kresowa zdobyła nie tylko resztę Widma, ale o wiele ważniejsze Colle San Angelo, jedną z pozycji kluczowych.

Melchior Wańkowicz, korespondent wojenny 2 Korpusu

Polskiego Melchior Wańkowicz (1. z lewej) w towarzystwie nierozpoznanych osób, na szczycie „Widma”. W tle Monte Cairo, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

W miarę jednak upływającego czasu nastroje wyraźnie rzedły, chociaż nic konkretnego nie mówiono. Dowiedziałem się, że najciekawiej jest siedzieć w schronie podsłuchu radiowego i tam też przeważną część dnia spędziłem. Zastałem tam już Wańkowicza, który mając niezawodny instynkt dziennikarski utknął w tym podsłuchu od rana, siedział kamieniem pilnie notując. To słuchanie jest rzeczywiście fascynujące, ale mimo bardzo jeszcze dobrego tonu czołgistów wyczuwało się wyraźnie, że optymizm poranny był trochę przedwczesny. Koło południa Niemcy odebrali San Angelo, po paru godzinach nasi znowu tam częściowo wleźli, ale oczyszczenie wzgórza się nie udawało, straty od moździerzy były coraz większe, Karpacka też nie mogła ruszyć dalej. Batalion 6 majora Różyckiego dotarł na 200 m od Albanety i dalej nie mógł się ruszyć. Płynęły długie godziny bez oczekiwanego sukcesu. Przychodzi zapowiedź: o godz: 13.40 piechota rusza do natarcia na Albanetę, tymczasem okazuje się, że w ogniu nie może się ruszyć. Staje się konieczne przybliżenie jeszcze tych paru czołgów nie mogą się ruszyć, bo przed nimi kilkudziesięciometrowy pas gęsto zaminowany. Saperzy z początku oczyszczali przejście, ale zrobił się taki ogień, że leżą pod czołgami i nie chcą wyłazić. Przez dobre pół godziny trwa

wymyślanie na tych saperów, bo od oczyszczenia drogi dla czołgów zależy bardzo dużo, przecież Albaneta to pępek niemieckich pozycji. Słyszę rozkaz Drelicharza: „Ruszcie czołgiem, żeby wystraszyć tych sukinsynów, że ich przejedziecie”. Po chwili meldunek: „Ruszyliśmy, ale ci spryciarze powłazili pod stojący obok czołg z urwaną gąsienicą. Ich dowódca ppor. C. powołuje się na rozkaz pułk. S., że saperów należy oszczędzać. Nic, tylko wziąć kija i wyganiać te cholery”. ”Strzel mu w łeb lepiej, to inni wyjdą”. O ile mi wiadomo, to zwrócono się wreszcie zupełnie poważnie do gen. Ducha o zezwolenie na zastrzelenie oficera dowodzącego saperami. Zezwolenie zostało podobno udzielone, ale zanim z niego skorzystano wyjaśniło się, że czołgiści trochę przesadzali, bo siedząc w czołgach nie doceniali bardzo silnego ognia moździerzy i spandauów uniemożliwiających pracę saperow. Ci ostatni próbowali pracować, ale co który głowę podniósł – strzelcy wyborowi nieprzyjaciela widocznie także rozumiejący sytuację, brali go na cel. Paru dostało, trudno się dziwić, że reszta wolała się chować.

Ku wieczorowi zaczęły napływać wiadomości o śmierci wyższych oficerów, Jurny nastrój czołgistów też zaczął nieco opadać. Czuć było zmęczenie, nawet w głosie Drelicharza (nazajutrz został ranny). Brakło im amunicji, mieli już kilku rannych, praca w nieustannym ogniu wyczerpuje. Wezwano z tyłu inny szwadron na zmianę, ale Drelicharz wybłagał, by go nie wycofywano – chce

doprowadzić swe zadanie do końca.

Na wieczór zaczęło się wszystko uspakajać bez rozstrzygającego wyniku dla którejkolwiek strony. Widmo było nasze, ale San Angelo i 575 m na odcinku Kresowej, a 595, 567 i Albaneta na odcinku Karpackiej pozostawały częściowo lub w całości w rękach Niemcow. A nasze straty już były ciężkie i zmęczenie żołnierza – potworne.

Polska Armia pod Monte Cassino, fot. Narodowe

Archiwum Cyfrowe, sygn. 37-645-2, za Pinterest.

Nazajutrz obiecywałem sobie od wczesnego rana siedzieć na podsłuchu. Tam przybyliśmy o 10.20 – prawie o tej samej właśnie minucie gen.Anders otrzymał meldunek, że przed paru minutami patrol 12 pułku ułanów wszedł do klasztoru Monte Cassino. Okazało się także, że w nocy i nad ranem wzięto Albanetę, 595 i 567. W chwilę potem widzieliśmy gen. Andersa udającego się na nabożeństwo, które z tego tytułu zarządził.

Koło namiotu ppłk. Michniewicza spotykam go wraz z ppłk. Bąkiewiczem i dowiaduję się od nich, że za chwilę jedzie do zdobytego klasztoru grupa amerykańskich dziennikarzy w towarzystwie polskich oficerów. Błagam, by mnie przyłączyli. Ppłk. M. powiada, że nic nie ma przeciw temu, ale muszę się starać o samochód. .

Wyruszyliśmy po 1. Było z dziesięciu, a może i tuzin Amerykanów, z nimi ppłk. Bąkiewicz, paru oficerów informacyjnych, z prasy Bau, Mossin i ja, filmowcy: Jaszcz, Lipiński, Bazarewski, jeszcze jakiś jeden major z kilku żołnierzami i chorągwią do wy(*nieczytelne)* klasztorze, jeden kapelan i ktoś tam jeszcze.

Dojechaliśmy do tzw. car-parku – po prostu łączka u podnóża

góry. Dalej idzie już tylko wąska i trudna ścieżka pod górę do drugiego, górnego car-parku. Ruch na niej, oczywiście, jednostronny, a właśnie w dół prowadzą wziętych w klasztorze jeńców: trzy partie po dziesięciu. Młodzi chłopcy, bardzo widocznie zmęczeni, zarośnięci, sami spadochroniarze. Podobno w nocy ponad stu wyszło z klasztoru, który już był odcięty i poszło poddać się Anglikom, by nie dostać się w polskie ręce.

Poszli, ale naszych łazików nie puszczają. Decydujemy się iść pieszo. Droga ciężka, coraz to trzeba wymijać to łaziki, to grupy robotników włoskich, to patrole sanitarne, to niosących nosze z rannymi, albo trupy owinięte w koce. Trupy leżą także od czasu do czasu, o ile są owinięte, to wyglądają jak jakieś na pocztę przygotowane przesyłki, tylko buty z jednej strony sterczą. Gorzej gdy (*nieczytelne)* owinięte, albo nawet przykryte, bo wówczas rozkładają się i strasznie pachną.

Ścieżka – już wyłącznie dla pieszych i może od biedy mułów, nieco powraca, potem skręca przez siodło w lewo i znowu się podnosi. Jesteśmy tu już na terenie, który nieprzyjaciel może obserwować i ostrzeliwać. Pada zarządzenie, żeby iść w odstępach dwudziestu kroków jeden od drugiego. Mijamy nieco krzaków, widzimy już klasztor, a raczej jego ruinę, wyjątkowo nie zadymioną, tak blisko, jak jeszcze się tej groźnej kupy gruzów nie widziało. Ścieżka zwraca jednak jeszcze w prawo, biegnie równolegle z krawędzi, za którą leżą miski Maioli, aż osiągamy

wielki murowany budyneczek słynny z czasu walk Karpackiej „Domek lekarza”, uwija się trochę ludzi, a przed domkiem leży przy ścieżce rzędem pół tuzina trupów z niezasłoniętymi twarzami.

Za laskiem droga dość stromo się podnosi – to już wejście (*nieczytelne)* Monte Cassino. Nad nami wznosi się imponująca ściana stosunkowo mało naruszona – to jedyna ocalała północna ściana klasztoru.

Pnę się na wzgórze i sapiąc spotykam gdzieś w połowie wzgórza na kilkadziesiąt metrów przed murem – Wańkowicza. Nie jestem jego adoratorem, złości mnie jego blaga i interesowność, kłóciliśmy się często o sprawy redakcyjne, aż się prawie obraził – a jednak przyznać muszę, że tym razem opanował mnie podziw, jak poprzedniego dnia na widok tych żołnierzy wnoszących na górę żywność i amunicję. Z jego tuszą i w jego wieku, to naprawdę wyczyn sportowy.

Ścieżka wzdłuż ściany wyprowadza nas na zasypany gruzami plac zachodniej strony klasztoru, gdzie grzbiet jest najłagodniejszy. Sterczy tam jeszcze kilka pni drzew i ruiny jakichś zabudowań. Klasztor od tej strony wygląda opłakanie – potworne rumowisko. Po lewej stronie wejście do jakiegoś tunelu, zapewne niegdyś po prostu korytarza. Stoi tam paru naszych saperów. O parę kroków przed kupą jakichś gruzów

pomieszanych z puszkami od konserw itp. – coś się żarzy. Zapytani saperzy wyjaśniają, że to jeszcze Niemcy zapalili.

Patrol z chorągwią musi się wydrapać na szczyt rumowiska, by zawiesić chorągiew na którymś z najwyższych punktów. Drapię się za nimi, co jednak nie jest łatwe, ani całkiem bezpieczne, bo trzeba się dostawać po stromych i wciąż usuwających się pod nogami gruzach, a ponadto nikt nie wie, czy teren nie jest zaminowany. Toteż z całej grupy liczącej ze trzydzieści osób wydrapało się na górę zaledwie siedem-osiem. Spośród Amerykanów widziałem na górze dwóch, Bau i Mossin zostali na dole, Wańkowicz, oczywiście, także… Samo zawieszenie chorągwi polskiej, a obok, ale trochę niżej – brytyjskiej odbyło się właściwie bez żadnej uroczystości, nikt nawet nie krzyknął „Baczność”.

Widać z góry dobrze obszerny arkadowy dziedziniec wewnętrzny, poważny i harmonizujący, ale mocno zniszczony. Figura założyciela klasztoru i zakonu, św. Benedykta, stoi żałośnie na ziemi bez głowy i ręki. Na przeciwległej ścianie – mały proporczyk ułanów, którzy pierwsi tu weszli. Poza tym – gruzy, gruzy, gruzy.

Zastanawiałem się, jak się to stało, że pomimo wszystko taki zwykły murowany, choćby i solidnie, budynek mógł choćby w stanie zburzonym uchronić załogę zarówno w czasie tylu

ciężkich bombardowań lotniczych (*nieczytelne)* artyleryjskich. Jak nazajutrz zeznawał dca załogi, Niemcy prawie nie mieli tam strat od ognia.

Na dole zastałem zaledwie kilka osób. Część już pomaszerowała z powrotem, gdy byliśmy w klasztorze, jakiś pocisk padł przy ścieżce, którą niedawno przechodziliśmy, a ponadto odgłosy walki artyleryjskiej od północy jakoś się ożywiły i ostatecznie nikt dobrze nie wiedział, kto skąd i do kogo strzela.. Nie widziałem także Baua i Mossina, którzy, jak się potem okazało, chodzili jeszcze po różnych wewnętrznych zakamarkach. Sądząc, że już poszli, a będąc z nimi związany wspólnym łazikiem, musiałem się spieszyć. Poszedłem więc tylko jeszcze wzdłuż głównego korytarza, u wejścia do którego żar jeszcze nie wygasł, zajrzałem do jednego z bocznym zakamarków i wycofałem się. Słyszałem, że w jednym z bocznych korytarzy siedzą trzej ranni Niemcy jeszcze nie ewakuowani, ale nie mogłem się przemóc, by iść ich oglądać. Wziąłem spod muru klasztornego odłamek pocisku na pamiątkę i zabrałem się do powrotu.

Gdzieś na początku lasku spotkałem Baranowskiego, który mi powiedział, że czeka na resztę filmowców i że Bau i Mossin zapewne jeszcze nie wyszli. Nie chciałem już jednak wracać, by się nie rozminąć. Gdy szedłem ścieżką poprzeczną wzdłuż Onufrio – ogień się jeszcze ożywił, a trzy pociski padły o kilkadziesiąt metrów poniżej podstawy klasztoru. Zauważyłem

obok ścieżki bardzo rozłożonego trupa – jeszcze chyba Anglika lub Amerykanina sprzed nadejścia na odcinek naszych oddziałów. Kamienie ścieżki w wielu miejscach silnie pokrwawione. Gdy dochodziłem do „Bramki”, słychać było bliskie serie kmów. Tłumaczyłem sobie, że to nasi likwidują ostatnie pozostałe wzgórze 575, ale nie bardzo mi się to podobało. Odcinek pomiędzy Domkiem Lekarza a „Bramką” już nie tylko Amerykanie, ale i nasi żołnierze przebywali biegiem. Koło Domu Lekarza też jakiś ruch bardziej gorączkowy niż przedtem. I ta seria karabinów maszynowych jakby gdzieś o paręset metrów, w dolinie Maioli. Później się okazało, że kontrataku na Albanetę nie było, ale San Angelo, wbrew poprzednim wiadomościom, nie było jeszcze w całości zdobyte jak i 575, a więc bitwa toczyła się od naszej ścieżki chyba nieco ponad kilometr.

Zszedłem do dolnego car-parku koło piątej, a w kilka minut potem zjawili się także filmowcy oraz Bau i Mossin. W II rzucie zastałem Rubla, zadowolonego z trzydniowego pobytu w 1 pułku artylerii lekkiej. Przyniosłem przywiezioną z Neapolu butelkę whisky oraz zachowany z Campobasso kawałek wędzonki i z Wackiem, Bornholzem i Rublem popiliśmy nieco pod to całe piękne zwycięstwo.

Następnego dnia pojechaliśmy z Rublem do sztabu Karpackiej szukać okazji do jakiejś wycieczki. Szczęśliwie się udało, dostaliśmy łazika i pojechaliśmy obejrzeć pole bitwy na wzgórzu

598, zdobytym poprzedniego dnia rano, na parę godzin przed klasztorem.

Tym razem udało się dojechać aż do górnego car-parku, co oszczędziło nam dużo zmęczenia i czasu, zwłaszcza że Rubel ma jedną nogę słabą (po złamaniu) i chorobę przestrzeni. Swoją drogą podziwiałem, jak łazik piął się po tej wściekle stromej serpentynie, ale się piął.

Kapral Emil Czech gra hejnał mariacki, ogłaszając zwycięstwo pod Monte Cassino, fot. Pinterest.

My tymczasem doszliśmy normalnie do „Bramki”, stamtąd ścieżką pod górę i niezadługo znaleźliśmy się pod grzebieniem zza którego nacierali nasi ułani. Czuć tam było jeszcze silnie atmosferę niedawnej walki. Kamienie zarzucone częściami umundurowania, odłamkami pocisków i granatów ręcznych, gilzami, niewypałami, częściami broni. Tu i ówdzie leżało jeszcze kilka trupów. Oto dwaj nasi żołnierze spaleni przez leżący obok, już zniszczony, niemiecki miotacz płomieni. Jeden leżąc szczerzy z wypalonych ust złote zęby, drugi, prawie na czarno zwęglony, pół siedzi w jakimś strasznym skurczu. A oto pokazują tzw. bunkier niemiecki. Dziura w skale dość głęboka, przykryta zo(*nieczytelne)* tylko szczelina szerokości 20-30 cm, ale skierowana ku górze. Żeby z tego strzelać, trzeba wyleźć, albo co najmiej mocno się wychylić.

Ze wszystkiego widać, że tu, gdzie stoimy, musiała się odbywać rzeczywiście walka prawie wręcz, na niezmiernie bliską odległość. Po ziemi leżą liczne zawleczki od ręcznych granatów – rzucanych przecież nie dla ćwiczenia. Oglądamy szereg stanowisk, gdzie leżeli Niemcy, gdy już nasi zajęli sam szczyt – są

to wnęki może o metr lub dwa za krawędzią skalną okalającą szczyt, a więc o kilka lub kilkanaście metrów od stanowisk, gdzie już byli nasi. Jedni leżeli po jednej, drudzy po drugiej stronie wysokiej na kilkadziesiąt cm krawędzi i rzucali do siebie granatami nie mogąc się podnieść, bo każde wychylenie się oznaczało śmierć.

A za krawędzią z prawej strony – dość stromy spadek w dolinę pośrodku której bieleje spora ruina obok której stoi parę unieruchomionych czołgów – to właśnie Masseria Albaneta, klucz całej pozycji. Oczywiście, łatwo powiedzieć: klucz, ale przecie nikt by się tam długo nie utrzymał mając nieprzyjaciela na 593 i na San Angelo widocznym z drugiej strony. A więc kluczem są te trzy punkty łącznie, czy też dla otwarcia tej górskiej bramy potrzebne są trzy klucze. Ale zdobywanie Albanety, gdy jeszcze ani S. Angelo, ani 593 nie były opanowane w zupełności, to rzeczywiście, na oko sądząc, zadanie dla szaleńców. Dlatego tyle kosztowało i dlatego mogło się udać tylko pod osłoną nocy i czołgów.

Strzelanina już tego dnia była znacznie odleglejsza, dymy wykwitały na zboczach Monte Cairo, gdzieś w kierunku Passo Corno – bardziej w lewo od Piedimonte.

Po długiej, żałosnej wędrówce dotarliśmy wreszcie do dolnego car-parku wyglądając jakiejś okazji. Tym razem udało się, bo nie

wiadomo dlaczego dwaj Anglicy, którzy byli z nami, a zjechali w dół już przeszło godzinę temu, jeszcze nie odjechali i uprzejmie zaproponowali nam miejsce. Dowieźli nas do sztabu III dywizji. Tam zjedliśmy podwieczorek w towarzystwie gen. Ducha i ppłk. Piątkowskiego i dostaliśmy łazika na dalszy powrót.

Nazajutrz kończył się nasz tygodniowy wypad. Rano pojechaliśmy jeszcze do I rzutu podziękować za opiekę i pomoc, na obiedzie spotkaliśmy majora Czapskiego i kapitana Gierata, którzy przyjechali osobowym samochodem i z nimi wróciliśmy bez przygód do Neapolu.

Józef Poniatowski (1897-1995) ekonomista, redaktor naczelny „Orła Białego” na Bliskim Wschodzie i we Włoszech (1942-1944), Minister Spaw Krajowych w gabinecie dr Stanisława Ostrowskiego w Londynie.

Utarczka z Zygmuntem Nowakowskim (1891-1963)

Florian Śmieja

Zygmunt Nowakowski, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Kiedy na cmentarzu Hampstead w Londynie chowaliśmy Kazimierza Wierzyńskiego, opodal jego mogiły widać było wcześniejsze groby, poety Tadeusza Sułkowskiego oraz świetnego felietonisty, krytyka teatralnego i prozaika, Zygmunta Nowakowskiego.

Nowakowski, wieloletni członek zarządu Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, wielki miłośnik Krakowa, ustawicznie obecny w naszych konwersacjach dzięki ciętym felietonom w

londyńskim „Dzienniku Polskim”, popularny gawędziarz rozgłośni Radia Wolna Europa, dla młodych rzecznik sztywnej postawy emigracyjnej, był postacią malowniczą i kontrowersyjną. Grzmiącym dzwonem. Jego wypowiedzi w prasie i radiu brzmiały jak orędzia.

Przed młodymi zakryta była jego świetna przeszłość i twórczy dorobek. Dopiero po jego śmierci dowiedziałem się, na przykład, że był również aktorem i kiedyś grał główną rolę w „Księciu Niezłomnym”. Oglądałem natomiast w Londynie jego sztukę „Gałązka rozmarynu”. Po bardzo udanym przedstawieniu autor skromnie stwierdził, że:

> To święto nie jest moim świętem, ale świętem słowa, wolnego polskiego słowa, które ja, obok innych pisarzy, dziennikarzy czy aktorów, wedle najlepszych intencji wyrażam.

Tego słowa, rzadkiego talentu elokwencji, nieraz używał w zabiegach o wsparcie dla ulubionego tygodnika „Wiadomości” z różnym rezultatem u bogatych arystokratów i ludzi zamożnych.

Nowakowskiego nieraz ponosił temperament, a wtedy dopuszczał się ostrych i gwałtownych napaści i oskarżeń. Pisane językiem barwnym były dotkliwymi sztychami, trudno się było

przed nimi obronić, a nieobyci młodzi, jeżeli już wchodzili z Nowakowskim w szranki, czuli się zmuszeni do używania broni równie rażącej w swej niezdarności i grotesce.

Tak było w 1957 roku, kiedy grupa początkujących pisarzy skupiona wokół miesięcznika młodych „Merkuriusz Polski" zaprosiła do Londynu Czesława Miłosza. Jego decyzja pozostania na Zachodzie wywołała długo toczącą się dyskusję, emigracyjne koła kierownicze spodziewały się jego pojawienia się w Londynie w roli petenta przepraszającego za współpracę z PRL-em, a myśmy go zaprosili na wieczór autorski i do tego do Sali Sztandarowej Instytutu im. gen W. Sikorskiego.

Spotkanie z Czesławem Miłoszem. Od lewej: Florian Śmieja, Czesław Miłosz, Zofia Poniatowska-Śmieja, fot. arch. F. Śmieji.

Wieczór się odbył. Liczna publiczność tłoczyła się nawet na schodach prowadzących do sali. Zygmunt Nowakowski dał upust swojemu niezadowoleniu z takiego obrotu rzeczy. W felietonie w „Dzienniku Polskim”, z 3 października zagrzmiał, że lokal, w którym się odbył wieczór Miłosza, należało wykadzić.

Jako organizatorzy spotkania zaprotestowaliśmy i wzięli w obronę naszego gościa. Będąc redaktorem naczelnym pisma wysłałem list do gazety, by napiętnować „niewybredną napaść na osobę prelegenta”. Ciągnąłem dalej, że:

> Uważamy, że Zygmunt Nowakowski nie ma prawa rozstrzygać, czy Miłosz jest osobą do przyjęcia przez emigrację, tak jak nie ma podstaw do piętnowania go. Ośrodki kulturalne służą całej społeczności polskiej i źle by się stało, gdyby miały się one kierować listą proskrypcyjną. Dlatego jesteśmy pełni uznania dla kierownictwa Instytutu gen. Sikorskiego stosującego kryteria zachodnioeuropejskie.
>
> Dylemat młodego Polaka na emigracji zwięźle ilustruje dwuwiersz Miłosza:
>
> Przed sobą widział gładką ścianę Wschodu,
>
> Za sobą mury polskie ciemnogrodu.

> Najnowsze wystąpienie p. Nowakowskiego utwierdza nas w przekonaniu, że jest on jednym z filarów tego ostatniego.

Tę moją odpowiedź, choć utrzymaną w wątpliwym tonie, „DziennikPolski”, którego Zygmunt Nowakowski był współdyrektorem, zamieścił 14 października 1957 roku. Oprócz tego w naszym miesięczniku napisaliśmy o Nowakowskim:

> […]odmawiamy mu prawa do wyrokowania, czy zaproszony przez nas wybitny poeta polski Czesław Miłosz mógł przemawiać „pod sztandarami” w instytucie im . gen. Sikorskiego. Odmawiamy mu prawa do nazywania Stefana Kisielewskiego i Jerzego Zawieyskiego „wysłannikami reżymu”.

Dodam, że w owym czasie Zygmunt Nowakowski nie był bynajmniej jedynym pisarzem, który takich dosadnych określeń niefrasobliwie używał.

Ostre wymiany epitetów, na szczęście nie oznaczały zerwania wszelkich stosunków i kontaktów. Pamiętam, jak kiedyś potem spotkałem Nowakowskiego na ulicy. Miał słaby wzrok i trudności z chodzeniem. Ująłem go pod ramię i zaprowadziłem do banku, do którego szedł. Nie omieszkałem przy okazji włożyć mu do

kieszeni najnowszego numeru naszego czasopisma.

On nam nie pamiętał grubych określeń pisanych w afekcie i młodzieńczej nietolerancji. Trzy lata po incydencie z Miłoszem Nowakowski napisał felieton „Kula u nogi?” Był to jego błyskotliwy komentarz do dyskusji, jaką wówczas przeprowadziliśmy w naszym piśmie na temat języka zastanawiając się, czy w naszej sytuacji język polski był dla nas najwłaściwszy, czy nie należało się od niego uwolnić i przylgnąć do języka angielskiego. Zygmunt Nowakowski ani przez momemt nie wątpił, że jednak zwycięży język polski. Cytując fragment mojego przekładu hiszpańskiej prozy poetyckiej, nie szczędził mu najwyższych pochwał i zakończył tak:

> I czy ktoś, kto tak pisze, może kiedykolwiek wyrzec się pisania po polsku? Czy polszczyzna i polskość może być u niego kulą u nogi?

Mimo, że widział, że stare i młode pokolenie pisarzy na uchodźstwie odnosiły się do siebie z obojętnością i chłodem, nie miał wątpliwości, co do tego, który język młodzi wybiorą. Decyzja nie zapadnie w dyskusji, argumentował:

> Ona wykluje się sama, w samotności, w pasji, w trudzie, w

> męce, w wewnętrznym szamotaniu się. Decyzja taka nie może być dziełem rozwagi. Ona przyjdzie pewnego dnia jak piorun. I będzie wyrazem solidarności nie wykalkulowanej na zimno, nie wyrozumowanej, ale radosnej tajemniczej solidarności z Polską, przed którą nie da się uciec nigdzie, nigdzie ukryć, nigdzie zamknąć.

– Dodając:

> A język, zamiast kulą u nogi lub wędzidłem, stanie się ostrogą do lotu.

Czy myślę nieskromnie, sądząc po latach, że przeczucia Nowakowskiego jednak go nie zawiodły ?